

Spotkanie jest cudem

Przychodzą raz, drugi, trzeci. Szukają talentów. Choć mogą zostać uznani za dziwolągi lub kogoś nasłanego, nie zrażają się. Tym, którzy chcą coś zrobić, proponują wspólne projekty.

W nowym myśleniu o kulturze i w działaniach animatorów coraz większe znaczenie ma zapraszanie do udziału w życiu kulturalnym środowisk wykluczonych, czyli osób, które na co dzień nie mają realnych możliwości takiego uczestnictwa. Powodów wykluczenia może być wiele: ubóstwo, poczucie braku akceptacji społecznej, niedostatek wyuczonych umiejętności, brak wiary w siebie. Czasem sprowadza się to do niemożności suwerennego dokonania wyboru własnej drogi rozwoju czy stylu życia.

Animatorzy jednak nie zajmują się resocjalizacją, nie prowadzą terapii, a jedynie proponują wspólne działanie, pokazują nowe światy, zachęcają do szukania innych sposobów myślenia o tożsamości. W swoich działaniach unikają izolowania zagrożonych środowisk, np. pomysłów typu: „zrobmy coś dla więźniów, coś dla chłopaków z poprawczaka”. Przeciwnie – w każdym wypadku celem jest integrowanie. To nie wyrok, nie patologia społeczne są kryterium udziału w jakimś przedsięwzięciu, ale talent i chęć działania. Animatorzy starają się wyławiać z zapomnianych, odrzuconych, omijanych, a czasami wyklinanych środowisk – tych ludzi, którzy chcą być aktywni, ale są izolowani.

– My do nich przychodzimy – mówi Tomasz Rodowicz, szef Stowarzyszenia Teatralnego Chorea, którego członkowie od kilku lat adresują swoje warsztaty również do środowisk wykluczonych. – Zawsze jednak istnieje ryzyko odrzucenia – zostaniemy wysmiani albo uznani za dziwolągi lub kogoś nasłanego. Jeśli nawet tak się dzieje, nie poddajemy się – przychodzimy drugi raz i trzeci.

Nikt nie ma recepty na te spotkania w szkole, ośrodku pomocy społecznej, Monarze czy ośrodku dla bezdomnych. Najpierw z tamtej strony musi się pojawić zaciekawienie, następnie deklaracja: „a co nam szkodzi, możemy spróbować”. Potem wszystko zmierza do zbudowania wzajemnego zaufania i poczucia, że „to, co robię może coś dla mnie znaczyć”.

– Nie występujemy z pozycji tych lepszych, bardziej świadomych, wiedzących – zaznacza Rodowicz. – Rozważamy wspólnie różne możliwości. Jeśli nasze relacje opieramy na współdziałaniu, to ono na pewno przyniesie owoce. W czasach, gdy tak rzadko ludzie się otwierają na siebie, takie spotkanie jak nasze jest cudem.

Ten sposób działania członków Chorei został poddany próbie w 2011 roku podczas realizacji wielkiego przedsięwzięcia „Oratorium Dance Project”. W trakcie kilku miesięcy przygotowano w spotkaniach-warsztatach wzięło udział ponad 500 osób. Byli to zazwyczaj młodzi ludzie z rodzin biednych lub patologicznych, domów dziecka, świetlic środowiskowych i placówek opiekuńczo-wychowawczych, którzy mają bardzo ograniczony dostęp do edukacji artystycznej. Udział w projekcie niejednokrotnie stanowił dla nich pierwszą w życiu okazję do kreatywnego działania w zakresie sztuki. Ostatecznie w grupie przygotowującej profesjonalny spektakl zostało 100 osób – 50 tancerzy i 50 śpiewaków chóru.

Musieli mieć rzeczywistą motywację. Bo nie było żadnej nagrody. Organizatorzy mieli plan i świetnych liderów prowadzących zajęcia. Przyszły jednak trudne momenty, kiedy, mimo mnóstwa pracy, wszystko się rozsypywało. Do tego zbliżał się termin premiery. Projekt, mimo kłopotów,

zakończył się sukcesem. Według Rodowicza, największą jego wartością było to, że sprawiał ogromną radość uczestnikom.

- Nie daję sobie prawa do stwierdzenia, że komuś pomogłem albo go zmieniłem. W trakcie projektu tak - młodzi ludzie byli inni - ale co będzie z nimi dalej, tego nie wiem. Biorę odpowiedzialność za tych, którzy zostali z nami po zakończeniu „Oratorium”. Uczestniczą w warsztatach tanecznych. Ze śpiewaków (dwadzieścia parę osób) utworzyliśmy Wielki Chór Młodej Chorei. Robią muzykę, którą z powodzeniem mogą prezentować we wszystkich miejscach na świecie - taki to jest poziom wykonawczy. Naszym dalszym celem jest stworzenie z nich instruktorów, animatorów, którzy potrafiliby pracować z własnymi grupami w swoich środowiskach.

Ale złych opowieści jest równie dużo. Spora część uczestników projektu wróciła do swoich środowisk - albo nie mieli czasu, albo musieli zarabiać pieniądze, albo rodzice im nie pozwolili. Czy życie tych młodych ludzi (którzy działają dalej w Chorei lub odeszli) dzięki „Oratorium” zmieniło się na lepsze? - Będziemy to wiedzieć za rok, dwa. Prowadzimy specjalne badania. Jedyne, czego pragnę, to żeby zawsze już dokonywali świadomych wyborów. By wiedzieli, że coś wybierają dlatego, że to jest dla nich ważne, a nie dlatego, że tak trzeba albo bez zastanowienia.

Chorea nie zaprzestaje działalności z trudnymi środowiskami. Grupa dzięki temu określiła się na nowo. Członkowie Chorei w Fabryce Sztuki przygotowali kolejne pomysły. Np. program muzyczny z małymi dziećmi z domów dziecka pt. „Lulabajki”. Drugi program to „Wszędodomni” - praca z bezdomnymi. Może uda się zrobić z nimi spektakl na podstawie ich tekstów i pomysłów. Jest też projekt pracy z ludźmi starszymi - dotyczy ratowania pamięci. Kolejny pomysł - „Abramka fest” - dotyczy miejsca - łódzkiej ulicy Abramowskiego, która w powszechnym myśleniu łodzian jest wyklęta i należy ją z daleka omijać. Dwie aktorki Chorei i osoba współpracująca, która tam mieszka, chcą podjąć ryzyko i zaanimować wydarzenie dotyczące większości mieszkańców tak, żeby to oni definiowali swój sposób działania w tym projekcie. Będą warsztaty plastyczne, muzyczne, akrobatyczne i kulinarne.

- Nasze działania zderzają się z zagubieniem, odstawaniem, byciem na marginesie i w izolacji. Te przestrzenie nas interesują, inspirują jako zagłębienia talentów. Tam jest prawda (choć to słowo mocno się już zużyło) i bezkompromisowość. Tam nie można się odwoływać do snobizmu lub dobrego smaku, wszystko musi się sprowadzać do rzeczy prostych i oczywistych. Praca z tymi ludźmi też musi taka być. To daje nam poczucie świeżości i realności. Lipy się tam nie wstawi.